

Marcin Łukasz Majewski

ORCID: 0000-0003-4483-6136

Brzeskie i piotrkowskie losy Tusneldy z Orzechowskich Zacierki (1919–2022). Wywiad. Część II. W Piotrkowie i Ravensbrück (1940–1945)

Marcin Łukasz Majewski: Gdzie zamieszkaliście po przyjeździe do Piotrkowa?

Tusnelda Zacierka: Do Piotrkowa przyjechaliśmy 30 kwietnia 1940 roku i zatrzymaliśmy się u cioci, która mieszkała w Śródmieściu, na parterze kamienicy na rogu ulicy Narutowicza i Tomickiego¹. Kamienica ta stoi do dziś. Ciocia nie wiedziała, że przyjeździemy, ale ucieszyła się bardzo, kiedy nas zobaczyła. Później zamieszkaliśmy niedaleko Hali Targowej na rogu Tomickiego i Pasażu Rudowskiego, w mieszkaniu, które zostało przez nas odnajęte od znajomych mojego przyszłego męża Mundka². Mieszkanie to cieszyło się złą sławą, ponieważ działy się tam jakieś tragedie, a mianowicie przed wojną mieszkająca w tym domu pani powiesiła się.

MŁM: Łącznie w okupowanym przez Sowietów Brześciu i Lwowie spędziła Pani pół roku. Po przyjeździe do Piotrkowa zetknęła się Pani z drugim okupantem Polski. Jakie wrażenie w porównaniu z Brześciem czy Lwowem wywarł na Pani okupowany Piotrków?

TZ: Codzienne życie w Brześciu czy we Lwowie było ponure i ciągle zagrożone, a kiedy przyjechałam tutaj była wiosna, maj, a wiadomo, że wiosna ma zawsze swój charakter bez względu na sytuację, a ja byłam młoda! W dodatku ciocia dokładnie tego samego dnia, w którym przy-

¹ Obecnie ul. Próchnika. Chodzi o budynek przy ulicy Narutowicza 18a.

² Dom ten nie zachował się.

jechaliśmy do Piotrkowa powiedziała mi, że muszę koniecznie zgłosić się do Arbeitsamtu, ponieważ przed tygodniem wyszło rozporządzenie, że młodzież, która ukończyła szesnasty rok życia musi się zameldować. Arbeitsamt mieścił się na rogu Słowackiego i Legionów³. Ciocia porozmawiała z dyrektorem Szpitala św. Trójcy doktorem Fidziańskim, załatwiając mi pracę, jako Arzthilfe i jako pomoc lekarska zameldowana zostałam w Arbeitsamcie, więc byłam już bezpieczna... Przynajmniej do czasu...

Tak czy inaczej cieszyłam się, że będę pracowała w szpitalu, gdzie panowała normalna atmosfera, rozmawiano normalnie po polsku i pracowało w nim dużo młodych ludzi. Bardzo szybko ich poznałam, a że byliśmy młodzi to nawet w czasie wojny bawiliśmy się! Początkowo dziewczyn znałam stosunkowo niedużo, ale później już się ich „nazbierało”, ponieważ poza tymi poznanymi przeze mnie w szpitalu, znałam już siostrę mojego przyszłego męża Wandę Zacierkównę i jej dwie koleżanki. Jedną z nich była córka dyrektora Gimnazjum Chrobrego profesora Buzka. Stworzyliśmy więc taką „paczkę” i umawialiśmy się na niedziele. Były trudności z wyżywieniem. Przydziały chleba były niewielkie, do tego ten chleb bardziej przypominał glinę niż ciasto, ale wieś dowoziła żywność do miasta, zwłaszcza później. Szpital też cierpiał straszną biedę, ale siostry szarytki, które gospodarowały w Świętej Trójcy, założyły chlewnię i hodowały prosiaki. Pamiętam, że przy dyżurce we frontowym budynku, gdzie na parterze była interna, a na piętrze chirurgia, czuło się te świnki, pomimo że siostry utrzymywały je w czystości. Dzięki temu szpital miał mięso, ponadto dostawał też jakieś przydziały. Oczywiście terror też tutaj panował. Najlepiej zapamiętałam jedną z pierwszych egzekucji po naszym przyjeździe, którą Niemcy wykonali chyba w czerwcu 1940 roku, rozstrzeliwując na Wolborskiej, kawałek za szpitalem około 40 osób⁴, pomimo to w porównaniu z tym

³ Obecnie ul. Dąbrowskiego. Chodzi o budynek przy ulicy Słowackiego 19.

⁴ Egzekucja w lesie wolborskim miała miejsce 29 czerwca 1940 r. o godzinie trzeciej nad ranem. W egzekucji, będącej jedną z pierwszych egzekucji zbiorowych w Piotrkowie, rozstrzelano 42 osoby, wśród których znajdowali się uczniowie tajnych kompletów oraz przedstawiciele inteligencji Piotrkowa i działacze polityczni uwięzieni w marcu 1940 r. w ramach akcji „Grossaktion” m.in. członek Zarządu Powiatowego Stronnictwa Narodowego Zbigniew Józef Gampf, zob. K. Strawiński, *Pod hitlerowską okupacją*, [w:] *Dzieje Piotrkowa Trybunalskiego*, red. B. Baranowski, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1989, s. 557 i n.

co było za Bugiem odetchnęłam. Koledzy i koleżanki pytali mnie często ze zdziwieniem: „Tam są Sowiety i też okupacja, ale dlaczego uciekliście tutaj do gorszego wroga?”. Pamiętam, że wtedy tłumaczyłam im: „Słuchajcie, kiedy ja przyjechałam do Piotrkowa to zupełnie nie miałam wrażenia, że jestem pod okupacją. Tam, w Brześciu to nie była okupacja – to było zawłaszczenie, ponieważ Sowieci uważali, że to jest ich ziemia, a oni nas Polaków, polską klasę robotniczą wyzwolili. W dodatku trzeba było ich za to chwalić – oni nas wyzwolili i my powinniśmy im być wdzięczni, że mamy teraz takie rządy. Nie można było powiedzieć, że przed wojną żyło się dobrze, bo było się za to karanym. A tutaj jest wróg i on nie podszywa się jak Sowieci pod przyjaciół. My wiemy, że to wróg i walczymy z nim, a tam to było nie do pomyślenia!”.

MŁM: W jaki sposób nawiązała Pani kontakty z konspiracją?

TZ: Nie było to takie trudne, ponieważ część młodych lekarzy należała do konspiracji np. Mietek Koszański czy moja ówczesna sympatia Tadek Molka. Nie pamiętam kiedy włączyłam się do pracy w konspiracji... Chyba to był już rok 1941, kiedy zaczęłam pracować na chirurgii, na którą „zabrał” mnie doktor Pleszyński. Moim zadaniem było asystowanie przy operacjach, pełniłam rolę drugiej pomocy po pani Zosi Adamczykowej, która nie miała wykształcenia lekarskiego, ale była bardzo zdolna. Nie przypominam sobie, aby ktoś odbierał ode mnie przysięgę, prawdopodobnie musiało to mieć miejsce, ale nie pamiętam tego.

MŁM: Jakie były Pani zadania w konspiracji?

TZ: Asystowałam przy operacjach rannych partyzantów, a później chodziłam im zmieniać opatrunki. To było bardzo niebezpiecznie, ponieważ trzeba było uważać, aby nikt nie trafił na trop tego rannego partyzanta, tym bardziej, że każdy wypadek postrzelenia należało zgłaszać na gestapo. Dość szybko zorganizowano także w Piotrkowie grupy młodych sanitariuszek, które należało wyszkolić w zakresie udzielania pierwszej pomocy. Do moich zadań należało prowadzenie tych szkoleń, które odbywały się w domach prywatnych. Grup do przeszkolenia było kilka. Jedna z nich zbierała się na Starym Mieście na rogu Rynku i placu Czarnieckiego na pierwszym piętrze u rodziny Hartmanów. Oprócz tego domu pamiętam jeszcze ładny piętrowy budynek przy ulicy Polnej, gdzie znajdowała się także „melina”. Dom był własnością małżeństwa nauczycieli i tam prowadziłam kursy kilka razy. Później ukrywali tam rannego, a był nawet taki czas, kiedy ukrywali się tam dwaj angielscy

spadochroniarze, ale ja wtedy o tym nie wiedziałam. Grupy dziewcząt, które szkoliłam były niewielkie – najwyżej do sześciu osób. Chodziło oczywiście o zachowanie jak najściślejszej tajemnicy.

MŁM: Czy miała Pani kontakty z gettem?

TZ: Z gettem nie miałam kontaktów, ale jeszcze na początku przebywali w szpitalu pacjenci żydowscy, jednak szybko się to skończyło.

MŁM: Szpital Świętej Trójcy był w czasie okupacji niemieckiej miejscem śmiałych akcji Armii Krajowej...

TZ: Ze szpitala „wykradziono” rannego „Jędrusia”, jak ich nazywaliśmy. Partyzant ten leżał w małej okratowanej salce na pierwszym piętrze, do której wejścia pilnował policjant.

Kiedy stan rannego się poprawił, pewnego dnia, już w godzinie policyjnej, został „wykradziony” z sali. Nikt nie został schwytany⁵. Dowódcą tej akcji był bardzo młody człowiek⁶. Ale o tym wydarzeniu dowiedziałam się znacznie później. Przeprowadzono również likwidację konfidenta z Wolborza⁷, człowieka młodego, bo mającego około 23, 24 lat, któremu udało się wejść w środowisko akowskie Wolborza i okolic. W wyniku denuncjacji, której dokonał, aresztowano wielu młodych ludzi z tamtejszych okolic. Znaczna część z nich zginęła w obozach bądź egzekucjach. Na tego człowieka zapadł wyrok, ale partyzantom nie udało się go zastrzelić – lekko ranny trafił do szpitala na oddział, na którym pracowałam. Czasami robiłam mu opatrunki i pamiętam, że leżał w sali na parterze. W szpitalu miał leżeć kilka dni i zostać wypisany, ale ponieważ bał się opuścić szpital, symulował jeszcze przez tydzień. Doktor zostawił go jeszcze na oddziale, choć podobnie jak i my wiedział, że to

⁵ Akcja odbicia kpt. Teodora Hofmana ps. „Bugaj” ze Szpitala św. Trójcy miała miejsce jesienią 1944 r., zob. A. Olasik, *Wspomnienia komendanta Obwodu Piotrkowskiego Armii Krajowej*, Towarzystwo Przyjaciół Miasta Piotrkowa Trybunalskiego, Piotrków Trybunalski 1991, s. 234–238.

⁶ Jan Starostka ps. „Mokry” (1916–1999) – porucznik, żołnierz Armii Krajowej, dowódca Oddziału Dywersji Bojowej Okręgu Łódź.

⁷ Wiosną 1944 r. Niemcy aresztowali, następnie zaś rozstrzelali 21 żołnierzy Batalionów Chłopskich z gminy Wolbórz. Organizacja była zinfiltrowana przez niejakiego Karockiego, który był konfidentem gestapo. Karocki mieszkał w Bogusławicach, gdzie był kierownikiem mleczarni. Udało mu się wnikać w struktury Batalionów Chłopskich i rozpracować tę organizację. Najprawdopodobniej na polecenie gestapo zaczął również infiltrować struktury Armii Krajowej w gminie Wolbórz; zob. M. Kopa, *Inspektorat Piotrkowski Armii Krajowej w dokumentach i komentarzach*, IPN, Łódź 2013, s. 287 i n.

jest konfident, ale konfident czy nie musiał być normalnie leczony. Ktoregoś popołudnia instrumentowałam przy operacji. Operacja dobiegała już końca, kiedy nagle usłyszeliśmy strzał – najpierw jeden, później drugi, wreszcie trzeci. Zamarliśmy. Niemal równocześnie po tych strzałach drzwi sali operacyjnej otworzyły się i w progu stanął ten konfident w po-krwawionej białej koszuli, po czym padł na ziemię. Zaraz za nim wpadł człowiek z rewolwerem. Spojrzał, schował broń i uciekł. Pracownik oddziału Kozera posadził rannego na wózku. Jeszcze nie wiedzieliśmy, gdzie został trafiony, ale ponieważ było pełno krwi wszystko wskazywało na brzuch. Skończyliśmy poprzednią operację, następnie zajęliśmy się nim. Po „otworzeniu” go okazało się, że miał podziurawione jelita. Później dowiedziałam się, że wszystko rozegrało się po obiedzie. Chorzy leżeli na sali, a łóżka w niej były rozstawione w dwóch rzędach. Ten konfident leżał trzeci. Do szpitala przyszedł wykonawca wyroku, wszedł na salę i idąc rzędem pomiędzy łózkami patrzył na nazwiska wypisane na kartach choroby. Kiedy spojrzał na kartę konfidenta ten od razu się domyślił po co ten mężczyzna wszedł na salę i rzucił się na niego. Obaj szarpali się leżąc na ziemi, aż w pewnym momencie ten partyzant wyciągnął broń i strzelił trzykrotnie⁸. Skoro jelita były pokiereszowane wiadomym było, że dojdzie do zapalenia otrzewnej. Pacjent żył jeszcze kilka dni, ale wysoko gorączkował, był jednak przytomny. Nie było nam jednak żal, że umiera przytomny i zdaje sobie z tego sprawę, ponieważ za to co zrobił zasługiwał nie tylko na śmierć z rąk „kata”, ale na to, żeby jeszcze przed tym się trochę pomęczył.

⁸ Wydarzenia te miały miejsce w lipcu 1944 r. Po ustaleniu, że Kornacki był agentem, zapadł na niego wyrok. Pierwsza próba zamachu, do której doszło w Wolborzu, nie powiodła się, a ranny w nogę Karocki został przewieziony przez gestapo do Szpitala św. Trójcy w Piotrkowie. Wykonanie wyroku powierzono Antoniemu Żakowi ps. „Jowisz”. Jego obstawę stanowili Wiktor Nowak ps. „Karp” oraz Henryk Wójcik ps. „Lelita” – sprawcy pierwszego, nieudanego zamachu na Karockiego. Po wejściu do sali szpitalnej „Jowisz” zbliżył się do łóżka, na którym leżał Karocki i po głośnym wymówieniu jego nazwiska wymierzył w niego broń. Konfident poderwał się z miejsca, ale w momencie kiedy „Jowisz” wyciągnął kartkę, by odczytać wyrok, Karocki zaczął krzyczeć i nerwowo się miotać. „Jowisz” strzelił do niego cztery razy, a w sali pełnej innych chorych i odwiedzających wybuchła panika. Karocki, mimo odniesionych ran, przyciągnął do siebie „Jowisza”, który w szamotaninie wystrzelił po raz piąty. Kula przeszła na wylot, raniąc przy okazji strzelca w rękę; zob. M. Kopa, op. cit., s. 287–291.

MLM: Czy cały okres okupacji niemieckiej aż do momentu aresztowania spędziła Pani w Piotrkowie?

TZ: Tak, okupację spędzałam w Piotrkowie, ale wyjeżdżałam także do Warszawy, gdzie miałam przyjaciół, co ciekawe dwa razy przeżyłam łapanki w stolicy. Za pierwszym razem szłam ulicą i nagle zobaczyłam, że naprzeciw biegną ludzie machając rękami, ponieważ Niemcy pędzą zaraz za nimi na motocyklach. Wbiegłam do bramy z jakąś kobietą i mężczyzną i tam przeczekaliśmy. Drugi raz przeżyłam podobną sytuację na ulicy Puławskiej. W Warszawie ostatni raz byłam tuż przed Powstaniem. Moja sympatia Tadek Molka oraz kolega z roku Alek Raiter, będący żołnierzami Armii Krajowej, brali udział w napadzie na posterunek graniczny w Sroczku⁹. Obaj po tej akcji byli spaleni, więc Alek poszedł do lasu do oddziału „Burzy”¹⁰, gdzie znajdował się już do końca wojny, natomiast Tadek wyjechał do Warszawy. Ponieważ Tadek bardzo lubił czytać, przed wyjazdem do stolicy poprosił mnie, abym pożyczyła mu trochę książek. Pożyczyłam mu książki, które były moją nagrodą za zdobycie trzeciego miejsca w maturze konkursowej, a więc m.in. *Mózg i pleć* Boya. Pod koniec lipca 1944 roku postanowiłam pojechać do Warszawy i zobaczyć jak mu idzie po przymusowej przeprowadzce. Tadek mieszkał u przyjaciół na Żelaznej i kiedy mnie zobaczył wcale się nie ucieszył, tylko zareagował podobnie jak mój wuj w Poznaniu w 1939 roku: „Po coś tu przyjechała?!”. Zaprosił mnie do środka i powiedział kategorycznie: „Napij się herbaty, ale ja cię zaraz odprowadzam, musisz zaraz wracać, bo jutro może być już za późno!”. Tadek odprowadził mnie na Dworzec Zachodni w nadziei, że będzie jakiś pociąg do Piotrkowa i rzeczywiście pociąg przez Piotrków stał na peronie dość długo. Na pożegnanie Tadek pocałował mnie w czoło i mocno przytulił. To jego chłodne powitanie, a później ten pocałunek na dworcu był wynikiem tego, że on wiedział, że Powstanie w Warszawie wybuchnąć może lada

⁹ Akcja na posterunek Grenzschutzu w Wodzinku koło Sroczka przeprowadzona w ramach akcji „Taśma” miała miejsce w nocy z 24 na 25 listopada 1943 r., pchor. Alfons Raiter ps. „Wojtek” został ranny w czasie akcji, zob. A. Olasik, op. cit., s. 61 i n.

¹⁰ Stanisława Karlińskiego ps. „Onufry”, „Burza” (1921–2015) – generała brygady Wojska Polskiego, żołnierza ZWZ-AK, dowódcy Oddziału Partyzanckiego „Burza”; zob. S. Burza-Karliński, *W burzy dziejowej. Wspomnienia dowódcy Oddziału Partyzanckiego „Burza” AK 1939–1945*, Wyd. Mierki, Warszawa–Kraków 2014.

dzień. Książki, które mu pożyczyłam spłonęły w Powstaniu. Sam Tadek przeżył i w połowie września udało mu się wrócić do Piotrkowa.

MLM: W kwietniu 1943 roku Niemcy ogłosili, że w okolicach Smoleńska odkryli masowe groby polskich oficerów zamordowanych przez NKWD. Jak społeczeństwo Piotrkowa przyjęło ogłoszenie przez Niemców listy katyńskiej?

TZ: Tę sprawę doskonale pamiętam. Co prawda w Katyniu nie straciłam nikogo bliskiego, ale dobrze wiedziałam, jacy są bolszewicy i do czego są zdolni. Te głosy, które później się pojawiły i w PRL były wersją oficjalną, a mianowicie, że to Niemcy zamordowali naszych oficerów, były dla mnie nieprawdopodobne. W Piotrkowie byłam już od trzech lat i zdążyłam dobrze poznać Niemców, łącznie ze zwykłymi żołnierzami Wehrmachtu. To nieprawda, że oni wykonywali rozkazy i byli niewinni – jak to?! Przecież dzieci mordowali, ale kiedy Sowietci ogłosili światu, że to nie oni, a Niemcy zamordowali jeńców, nie uwierzyłam sowieckiej propagandzie. Pomimo wielkich nacisków, jakie wtedy czyniła Rosja Sowiecka na opinię światową, uwierzyłam Niemcom. Nie lubiłam wtedy mówić na ten temat, ponieważ nie chciałam w żaden sposób chwalić Niemców, ale tym osobom, które znałam bliżej mówiłam otwarcie: „Znam Niemców i wiem, że tutaj mordują, ale mój bliski znajomy, brat mojej koleżanki z Poznania Wandy, Gienek Opic dostał się pod Dunkierkę do niewoli niemieckiej. Dostawałam od niego listy i kartki z oflagu, a jednocześnie nie słyszało się nigdy, aby Niemcy, wbrew konwencji międzynarodowym, zabijali jeńców wojennych. Oczywiście, kiedy uciekali strzelali do nich, ale żeby jakąś grupę wyprowadzić i zastrzelić to się nie słyszało”. Sowietci wzięli ponadto tych jeńców w sposób nieprawny, ponieważ Polska formalnie z Sowietami wojny nie prowadziła. Zaraz po ogłoszeniu przez Niemców sprawy katyńskiej pisano o wynikach badań Komisji Międzynarodowej. Pokazywano zdjęcia kości i czaszek, także ja starałam się wylaapywać z prasy wszelkie wzmianki na temat mordu w Katyniu. Część ludzi wierzyła, że to niemiecka prowokacja, druga część – łącznie ze mną i moimi znajomymi – wiedziała, że to zbrodnia sowiecka. Sprawa Katynia była ogromnym przeżyciem dla mojej mamy, która przez całe swoje życie wracała do tej strasznej sowieckiej zbrodni. Ostatnia rozmowa, jaką odbyła przed swoją śmiercią, a były to lata osiemdziesiąte, była rozmową na temat Katynia.

MŁM: Powiedziała Pani, że po półrocznym okresie życia w sowieckim „raju” w Piotrkowie zdążyła Pani odetchnąć. Nawiązała Pani przyjaźnię, rozpoczęła pracę w szpitalu, włączyła się w nurt pracy konspiracyjnej. Co takiego nagle się wydarzyło, że zaczęło się Panią interesować gestapo? Czy Niemcy wpadli na trop szkoleń, które Pani prowadziła?

TZ: Nie, Niemcy nie wiedzieli o moich kontaktach z konspiracją. To była sprawa trochę przypadkowa... Wszystko zaczęło się pewnego wrześniowego popołudnia. Pracowałam w szpitalu, jak zwykle wykonując swoje obowiązki i około godziny trzeciej popołudniu, czyli już pod koniec pracy, doktor Różycki zwrócił się do siostry Natalii, mówiąc: „Siostró, zawiadomili mnie z AK, że za 15 minut będzie czekała na mnie bryczka, proszę przygotować wszystkie potrzebne narzędzia, ponieważ będę wyjmował postrzelonej dziewczynie kulę, która utknęła w udzie najprawdopodobniej w okolicach kości”. Doktor miał dokonać tego zabiegu gdzieś za Rozprzą. Dziewczyna ta nie została postrzelona przez Niemców, ale w wyniku nieszczęśliwego wypadku. Była w dobrym stanie, ale oczywiście nie było mowy o przywiezieniu jej do szpitala, więc doktor, należący zresztą do Armii Krajowej, musiał jechać. Byłam przy tej rozmowie, ponieważ myślałam jeszcze narzędzia operacyjne. Siostra Natalia zapytała: „To sam doktor jedzie?”. On odparł: „No sam, bo z kim mam jechać?”. Co prawda spojrzał wtedy na mnie, ale siostra jednocześnie powiedziała: „Panno Tusi, ja uważam, że powinna pojechać pani z doktorem, bo pomoże mu pani rozszerzyć tę ranę, aby miał dojsię i wiedział, gdzie ma nacinać”. Doktor przyznał, że rzeczywiście przydałaby mu się pomoc, ale stwierdził, że lepiej będzie jeśli jednak nie pojedę. Ja zdecydowałam się jechać z doktorem, zastanawiając się jednocześnie jak powiadomić mamę, że nie wrócę. Siostra Natalia powiedziała do mnie: „Panno Tusi, przecież pani tyle razy zostawała do wieczora jak były operacje, a poza tym postaramy się jakoś panią Orzechowską zawiadomić”, natomiast doktor Różycki dodał do tego, że wrócimy przed dziewiątą wieczorem, bo przecież jest godzina policyjna. Pojechaliśmy na miejsce, gdzie wszystko było już przygotowane. To było porządne gospodarstwo z dużym domem, w środku stał wyszorowany wielki stół, na którym miała odbyć się operacja. Dziewczyna była przy kości, potężnie zbudowana i kiedy popatrzyłam na jej uda to pomyślałam wtedy, że ta kula miała w czym ugrzęznąć. Doktor szybko trafił

na kulę, która jak przypuszczałam utkwiała przy samej kości i wyjąwszy ją zaszyłam ranę, którą ja potem obandażowałam. Zaproponowano nam szklankę herbaty, ale odmówiliśmy, ponieważ chcieliśmy jak najszybciej wyjechać do Piotrkowa, tak aby zdążyć przed godziną policyjną. Bryczka czekała już na nas z drugiej strony domu, żegnaliśmy się z gospodarzami, a przed wyjściem doktor zajrzał jeszcze do tej dziewczyny. Mieliśmy wyjść – to była dosłownie kwestia minut, gdy nagle weszli do domu dwaj mężczyźni z karabinami na ramionach, mówiąc do nas: „No jesteście! Dowiedzieliśmy się, że jest tu chirurg z asystentką. W lesie jest nasza placówka, mamy dwóch rannych i przyjechaliśmy, aby chirurg ich zbadał. Jeden z naszych jest ranny w brzuch”. Doktor odpowiedział: „Proszę pana, być może to są lekkie rany, a my musimy wracać, przecież niedługo będzie godzina policyjna”. Ci partyzanci odpowiedzieli, że gdyby sprawa nie była poważna, to by po nas nie przyjechali, po czym stwierdzili, że musimy z nimi jechać. Wtedy nie wiedzieliśmy co to byli za partyzanci, dopiero później na gestapo powiedziano nam, że to byli partyzanci sowieccy. Na miejscu okazało się, że jeden z rannych miał ranę styczną, także wystarczył jedynie opatrunek, który ja robiłam, drugi natomiast był lekko ranny w nogę. Pamiętam, że zapadła noc księżycowa, ten księżyc ponuro wisiał nad lasem, przez który nas wieźli z powrotem do tego gospodarstwa, a my z doktorem byliśmy zdenerwowani, bo nie mogliśmy wrócić do Piotrkowa, a musieliśmy zatrzymać się na noc. Nazajutrz odwieziono nas do Piotrkowa. Mieszkaliśmy wtedy blisko siebie, bo ja na Tomickiego, a doktor w Alejach 3-ego Maja. Po powrocie mama zapytała skąd wracam, ale nie powiedziałam jej, gdzie byłam, zbywając ją krótkim: „Wie mama jak to jest w szpitalu, byli ranni”. Nie kładłam się już spać, tylko przebrałam się i poszłam przed ósmą do pracy. W szpitalu szef doktora Różyckiego i mój, pan doktor Tomaszewski zapytał mnie co się stało, ponieważ wiedział, że nie wróciliśmy na noc. Odpowiedziałam, że doktor Różycki opowie o tym, co się wydarzyło, ponieważ za chwilę miały zacząć się operacje, więc musiałam przygotować narzędzia. Obawialiśmy się razem z doktorem Różyckim, że Niemcy niedługo przyjdą po nas i nas aresztują, ale nie przyszli tego dnia ani następnego. Cały tydzień minął spokojnie, a więc Niemcy nic nie wiedzą! Również po tygodniu, 13 września przyszli na 3-go Maja po doktora. Żona doktora Różyckiego Teresa wysłała do mnie od razu ich syna, aby ostrzegł mnie przed gestapo, abym mogła się gdzieś ukryć. Ten chłopiec

przybiegł na Tomickiego przed siódmą rano, drzwi otworzyła mu moja mama. Powiedział, że chce koniecznie ze mną rozmawiać. Powiedział mi, że po jego ojca przyszło nad ranem gestapo i żebym natychmiast uciekała, to być może zdążę się ukryć. Mama nie pytała nawet za co grozi mi aresztowanie, tylko zaproponowała, abym ukryła się u rodziny w Rozprzy i wtedy nastąpiła pierwsza pokusa ucieczki. Zastanawiałam się co zrobić, ale w końcu zadecydowałam, że zostanę. Zadziałał u mnie bowiem ten sam mechanizm, którym kierował się ojciec po propozycji mamy samotnego wyjazdu z Brześcia – jeżeli ucieknę, to gestapo zatrzyma mamę i Danusię, więc jak gdyby nigdy nic poszłam do pracy. W szpitalu przyszedł do mnie doktor Tomaszewski, który wiedział już o aresztowaniu doktora Różyckiego, mówiąc mi: „Panno Tusi, co teraz będzie?”. Ponieważ nie przyszli po mnie od razu, doktor Tomaszewski miał jeszcze nadzieję, że nie przyjdą po mnie. Ja już tej nadziei nie miałam – wiedziałam, że aresztowanie jest kwestią najwyżej kilku godzin. Po godzinie jedenastej robiłam opatrunek pacjentowi w salce naprzeciw sali lekarskiej. Nagle przyszedł doktor Tomaszewski, uchylił drzwi i powiedział: „Panno Tusi, przyszli po panią...”. Odpowiedziałam: „Dobrze panie doktorze, tylko skończę opatrunek”. Wyszłam z pomieszczenia na korytarz, gdzie czekało na mnie dwóch gestapowców, oni mnie nie witali, ja oczywiście ich tym bardziej. Przeszłam spokojnie do pokoju lekarskiego po żakiet i torebkę. Spokojnie przejrzałam kieszenie i torebkę, czy nie mam tam jakiegoś adresu. Raczej starałam się nie nosić takich rzeczy ze sobą, ale na wszelki wypadek sprawdziłam co mam. W pokoju lekarskim było okno z wysokim parapetem wychodzącym na ulicę Skłodowskiej-Curie i wtedy pojawiła się w mojej głowie druga pokusa ucieczki. Gestapowcy nie weszli razem ze mną, tylko czekali na korytarzu, mogłam więc skoczyć przez okno na ulicę i później szybko placem Litewskim w ogrody zanim zorientują się, że zbyt długo jestem w pokoju. Pomyślałam jednak, że i tak nie wiadomo, czy ucieknę, a jeżeli nie złapią mnie, to zabiorą mamę i Danusię, więc wyszłam do nich. Zawieźli mnie do gestapo na Żeromskiego, sprowadzili na dół do piwnicy, w której były dwa okna wychodzące na sąsiedni budynek. W celi była tylko ława i wiaderko na odchody. Oprócz mnie w celi nikt nie siedział. Późnym popołudniem drzwi celi otworzyły się i wszedł do nich strażnik mówiąc, że moja matka przyniosła mi paczkę. W paczce było coś do jedzenia i jakieś ciepłe rzeczy. Paczkę od mamy położyłam obok

siebie. Nagle rozległy się jakieś krzyki, jakieś przeraźliwe jęki... Podeszłam pod drzwi celi i nasłuchiwałam. Wywnioskowałam, że musieli wlec po schodach jakiegoś młodego człowieka, który jęczał z bólu. Jego przeraźliwe jęki i moja świadomość, dlaczego on tak jęczy były pierwszymi ciężkimi przeżyciami po aresztowaniu. Siedziałam dalej, a potem zaczęłam chodzić po tej celi. Zapadła noc, księżyc na niebie był wielki, a na podwórzu wyły do niego dwa duże psy. Wycie tych psów było okropne – nie dość, że sama sytuacja była pełna grozy, to jeszcze „podgrzewały” ją te dwa psy. Nad ranem zaczęły się myśli: „Boże, będą pytania co ja robiłam w tym lesie i dlaczego tam pojechaliśmy. Pomoc partyzantom – przecież to pewny koniec!”. W dodatku nie wiedziałam, co powiedział Stach, bo był aresztowany kilka godzin wcześniej, więc na pewno zeznawał wczoraj. Wobec tego myślałam: „Boże, co on powiedział?”. Modliłam się wtedy, aby na przesłuchaniu mówić to samo. Zaczęłam się jednocześnie zastanawiać, czy gestapo wie o tej rannej dziewczynie?

Okazało się, że na całe szczęście nie wiedzieli, ponieważ wtedy zaczęłoby się szukanie i jej, i tych partyzantów, którzy ją przypadkowo postrzelili. Przesłuchania odbywały się na pierwszym piętrze. Kiedy wyprowadzili mnie z celi, prowadząc mnie na górę po schodach, czułam się bardzo niepewnie. W pokoju Niemiec, który miał prowadzić przesłuchanie zapytał mnie, czy znam niemiecki. Odpowiedziałam, że nie, więc rozmawialiśmy przez tłumacza. Od razu zapytał mnie: „Dlaczego pojechaliście do tego lasu?”. Odpowiedziałam: „Żeby udzielić pomocy partyzantom”. On na to odparł spokojnie: „No tak, to się zgadza. Słuchaj, nie musisz niczego tutaj wymyślać, bo my dokładnie wiemy, że pojechaliście pod przymusem. My mamy swoich ludzi wszędzie! Wiemy, że zostaliście w nocy przywiezieni siłą przez dwóch uzbrojonych i to by was broniło”. O dziewczynie, do której przyjechaliśmy nie powiedział nic, a więc o tym nie wiedzieli. Dalej powiedział mi tak: „Pojechaliście pod przymusem, dobrze, ale to był oddział sowiecki, komunistyczny, a wyście tam byli!”. Odpowiedziałam: „Przecież każdemu rannemu lekarz musi udzielić pomocy”. On na to: „Tak, to też się zgadza, oczywiście! Ale dlaczego nie zgłosiliście na gestapo, że zostaliście tam zawiezieni i że musieliście pomóc tym sowieckim partyzantom?! Dlaczego?! Nie musisz odpowiadać! To jasne! To dlatego, że sami jesteście komunistami! Tydzień czekaliśmy, aż się zgłosi jedno, czy drugie, czy obydwójce!

Nie zgłosiliście tego przez tydzień! Dlaczego nie przyszłaś zgłosić?!”. Odpowiedziałam: „Bo baliśmy się...”. On mi na to odrzekł: „Czego się baliście?! To partyzantów, żeście się bali, a nas potężne Niemcy nie?!”. Powiedziałam, że „W ogóle bałam się wszystkiego i dlatego nie przyszłam zgłosić”. Uśmiechnął się, „dobra” powiedział i z powrotem do celi.

MŁM: Co działo się z Panią po przesłuchaniu? Usłyszała Pani wyrok w swojej sprawie?

TZ: Z gestapo przewieziono mnie do piotrkowskiego więzienia. Cella, w której mnie umieszczono znajdowała się na piętrze, była duża, jasna i czysta, a jej okna wychodziły na ulicę Rycerską. Okna ubikacji skierowane były na bramę kościoła Dominikanów, co było dla mnie bardzo ważne. Pewnego dnia do więzienia przyszła Danusia, która chciała się ze mną zobaczyć. Niestety, strażnik przy bramie więziennej wytłumaczył jej, że jest to niemożliwe. Niemniej otrzymywałam paczki. Kiedy Danusia dowiedziała się, że nie będzie mogła mnie zobaczyć stanęła na Rycerskiej, a ja dostrzegłam ją przez okno swojej celi. Pomachałam jej i później przychodziła codziennie. W więzieniu było czysto, nie było wszy i nie byłam głodna. Prawie cały czas siedziałam sama, dopiero na kilka dni przed wywózką zamknęli ze mną jakąś młodą dziewczynę. Nie wiem, za co siedziała, ale miała 16 lat i była drobną złodziejką. Mój przyszły mąż Mundek przychodził codziennie i przynosił dla mnie jabłka, które jak zauważyłam podkradała mi moja współlokatorka. Zastanawiałam się nawet, czy powiedzieć jej, że o tym wiem i jeżeli ma ochotę to mogę ją poczęstować, czy mam udawać, że tego nie widzę. Co prawda pierwsze wrażenie i świadomość, że jestem okradana była przykra, ale w końcu machnęłam na to ręką. Wyrok w mojej sprawie zapewne został wydany, ale ja oczywiście nigdy go nie poznałam. W więzieniu piotrkowskim najgorsze były noce, ponieważ w nocy słyszałam bardzo dokładnie zegar na wieży Bernardynów, wydzwaniający godziny. Ten dźwięk słyszany zza krat celi sprawiał, że było mi bardzo źle.

MŁM: Więzienie piotrkowskie było jednak tylko pierwszym etapem w drodze do obozu. Pamięta Pani podróż do Ravensbrück?

TZ: Dowiedziałam się od jakiegoś funkcjonariusza więziennego, że mniej więcej za dwa dni będzie transport, więc wiedziałam, że mnie wywiozą. Do więzienia dostarczono mi sznurowane buty, uszyty już w Piotrkowie płaszcz zimowy i duży koc, więc ja na dworzec szłam obładowana! Żona doktora Różyckiego, Tesia, była zawiadomiona

o transporcie i robiła wszystko, aby choć przez chwilę go zobaczyć. Poszła na Wojska Polskiego do mieszkania swoich znajomych Kisterów, mając nadzieję, że zobaczy doktora w kolumnie więźniów prowadzonych ulicą na dworzec. Potem pobiegły na stację, gdzie była już moja mama. Tesia pod wpływem tych przeżyć omal nie zemdląła i na dworcu była prawie że niesiona przez swoją i moją mamę. Ja Różyckiego nie widziałam na transporcie, ponieważ osobno wywożono mężczyzn i osobno kobiety. Mama, świetnie znająca niemiecki, dowiedziała się, gdzie znajdują się mężczyźni i Tesia zobaczyła się z mężem. Następnie moja mama zapytała się, gdzie znajdują się kobiety i odnalazła mnie. Powiedziała tylko: „Tusiu, Tusiu...”. Ja starałam się mamę pocieszyć, mówiłam: „Mamo, będzie dobrze, wrócę!” i chyba się udało, bo mama nawet nie płakała. Do Ravensbrück wiezieni byliśmy nie w wagonach towarowych, ale więziennych. Składały się one z małych przedziałów z jedną ławką z jednej strony i rzadko zakratowanym oknem umieszczonym dość wysoko. W przedziale byłam sama. Zawieziono nas do Częstochowy do więzienia na Zawodziu, gdzie był pierwszy postój. To było bardzo ciężkie więzienie, w którym wszystko było metalowe. Byłam tam sześć dni i dotąd nie spotkałam się z tak silną wszawicą, jaka tam panowała, przy czym to była raczej wszawica ubraniowa. Ja także miałam wszy, które strasznie gryzły. W Częstochowie poznałam więźniarkę, która została aresztowana w Moszczenicy i miała piękne włosy, takie jak na oleodrukach ma Maria Magdalena. Włosy sięgały jej do łopatek, miały piękny złoty połysk, a splecione były w dwa warkocze. Miała ze sobą grzebień i każdego dnia musiałam ją czesać, bo gdyby w więzieniu znaleźli we włosach gnidę od razu golono do gołej skóry. Nie myślała, że może życie stracić, ale cały czas martwiła się o swoje włosy. Wierzyła, że uda jej się przeżyć i kiedy wróci po wojnie do dwójki swoich dzieci musi koniecznie mieć włosy. W Ravensbrück miała obcięte włosy, ale nie do samej skóry. W obozie widziałam ją raz, a potem musiała być bardzo szybko wywieziona do pracy w różnych fabrykach. Z Częstochowy wywieziono nas do Kluczborka, ale tam zatrzymaliśmy się tylko na jedną noc, następną zaś stacją był Wrocław, który zapamiętałam, ponieważ więzienie mieściło się w kamienicy na piątym piętrze. Pokoje były duże, ładne, ale były w nich pluskwy. One musiały już tam być wcześniej, ponieważ my mogłyśmy przywieźć jedynie wszy. Pluskwy zwykle pojawiają się w nocy, ale tutaj pełno ich było w ciągu dnia. To było okropne,

a jak się je zabijało wydobywał się straszny smród. Panował duży głód. W południe przychodziło się ze swoim kubkiem, do którego strażniczka wlewała jakąś zupę. To była wodnista polewka, natomiast rano dostawaliśmy chleb, który musiał starczać na cały dzień, oprócz tego coś skromnego było na kolację. Ja miałam jeszcze ze sobą jabłka, które Mundek przynosił mi do więzienia, ale pewnego dnia wracam z kubkiem zupy i zobaczyłam jak jakaś Niemka wyjmuje te jabłka z mojego tobołka. Kiedy to zobaczyłam omal nie upuściłam tego kubka z zupą, ponieważ dla mnie to było pierwsze zetknięcie się z takim postępowaniem. Do tej pory nie wiedziałam, że tak się dzieje na świecie. Zgłosiłam to kobiecie, która rozdawała nam posiłki, ale nie było żadnych konsekwencji. Nie zrobiłam zresztą tego, aby ją ukarano, ale to był mój pierwszy odruch. Z Wrocławia zawieziono nas do Cottbus. Później pociąg jechał bardzo monotonnie, stając co jakiś czas. Zapadła noc, ale nie spałam. Kiedy pociąg tylko stawał wchodziłam na ławkę i patrzyłam przez zakratowane okienko, by zorientować się gdzie jesteśmy. Dojechaliśmy do jakiejś niedużej stacyjki z drewnianym parterowym budynkiem i wyraźnym napisem: „Sagan”. Kiedy patrzyłam na tę nazwę nie wierzyłam własnym oczom, ponieważ dla mnie Sagan było znajomą nazwą, dlatego że brat Wandy, Gienek Opic, który pisywał do mnie z oflagu, siedział właśnie w oflagu w Sagan. Po chwili zobaczyłam, że zza budynku idą z taczką dwaj mężczyźni w mundurach francuskich, a Gienek pisał mi nawet, że siedzi razem z Francuzami. Pomyślałam, że może ci Francuzi będą tędy przechodzić. Szybko wyjęłam z torebki papier, napisałam krótką wiadomość, nie pamiętam już czym obciążyłam i czekałam aż Francuzi przechodzić będą pod moim oknem. Naszykowałam się i kiedy oni przechodzili pod moim wagonem rzuciłam tę małą kartkę prosto na taczkę, którą prowadzili. Oni pojechali dalej, nie schylali się, ale byłam pewna, że moja kartka tam jest. Takich pomysłów było więcej w następnych wagonach i strażnicy za którymś razem zauważyli. Nagle zaczęło się bieganie po korytarzu, a ja usiadłam i udawałam, że śpię, więc zajrzeli tylko do mojego przedziału i poszli dalej. Nikogo nie złapali, a my pojechaliśmy dalej. Okazało się, że Francuzi dostarczyli Gienkowi tę kartkę, a ja na niej mu napisałam: „Wiozą nas do Ravensbrück, zawiadam mamę. Tuśka”. Gienek natychmiast napisał do mamy i dzięki temu później w obozie otrzymywałam z domu paczki. Z podróży świetnie zapamiętałam postój w Berlinie. Umieszczono nas w dużym siedmiopię-

trowym budynku więzienia na Alexanderplatz – podobno budynek ten, w którym oprócz więzienia mieściła się także policja, przetrwał. Nagle alarm – nalot, wszyscy mają schodzić do piwnic. Ja byłam w celi na piątym piętrze, więc biegiem do piwnicy. W piwnicy były długie ciemne korytarze, słysząc było blisko huki, czułyśmy drżenie ziemi. Wybuchła panika, ludzie głośno się modlili i rozpaczali. Ja sobie myślałam: „Boże, gdybym tutaj zginęła, to rodzice nawet nie wiedzieliby gdzie”. Uspokoiło się jednak i wróciłyśmy do cel. Z Berlina wywożono nas nad ranem, to było już 24 albo 25 października. Wyprowadzano nas dwójkami przed budynek, gdzie przez cały czas świeciły reflektory, zupełnie tak, jak byśmy były niebezpiecznymi gangsterami. Czekwały na nas tramwaje, do których nas upychano, a do dworca konwojowały nas motocykle. Na dworzec odprowadzała nas eskorta. Nie pamiętam, który to był dworzec, ale nie było na nim zbyt wielu pasażerów, ale starałam się patrzeć na ich twarze. Przez tę eskortę ci wszyscy Niemcy musieli nas uważać za jakieś strasznie niebezpieczne kryminalistki.

MŁM: W końcu dotarliście do Ravensbrück. Jak zapamiętała Pani pierwsze chwile po przekroczeniu bramy obozu?

TZ: Ravensbrück to była mała stacyjka, z której odprowadzała nas do obozu eskorta, ale już nie tak liczna jak w Berlinie. Drogę od stacji pokonywałyśmy pieszo. Brama obozowa nie posiadała żadnego napisu, droga była szeroka. Byłam przy samym końcu kolumny razem z Wandą Wyszacką i jej mamą. Rozmawiałyśmy, choć mama Wandy rzadko się odzywała. Stałam w zimowym płaszczyku, którego było mi bardzo szkoda, ponieważ był bardzo dobrze uszyty, miał ładny czarny kołnierzyk z imitacją fok czy czegoś i pięknie pachniał, dlatego że dostałam kiedyś maleńki flakonik prawdziwych perfum. Jak dobre musiały to być perfumy, skoro przez lato nie nosiłam płaszcza, a nadal było je czuć. Wąchałam ten przyjemny zapach i myślałam: „zapach wolności”. Kolumna zatrzymała się i stałyśmy bardzo długo, ponieważ brano kolejno kilka kobiet do Badu, gdzie należało się rozebrać, następnie brało się prysznic. To było nawet dobre, bo po tak długiej podróży tęskniło się za kąpielą. Zastanawiałam się, czy zabrać ze sobą pod prysznic mydło, które miałam ze sobą, ale ostatecznie zdecydowałam się go nie brać, ponieważ bałam się, że w czasie kąpieli wyślizgnie mi się gdzieś. Potem zresztą w obozie też się myłam! „Łazienka” obozowa wyposażona była w długie korytka, nad którymi był nisko zawieszony kran. Zawsze rano

przed piątą jeszcze brałam mydło i wykorzystując to, że byłam niska i drobna, myłam się. To mnie zresztą hartowało i przydało się, kiedy w zimie trzeba było długo stać na apelu. Po wyjściu z Badu dawano nam do założenia na siebie jakąś koszulę, bluzkę i spódnicę, a jako okrycie granatowy szynel z dość grubego sukna. Już wtedy pasiaków w obozie nie było. Te szynele miały na plecach wymalowane wapnem czy farbą białe krzyże. Ja ten krzyż miałam natomiast jeszcze wszyty. W dodatku na szynelu miałam umieszczony czerwony trójkąt. W obozie znajdowały się różne kategorie więźniarek. Były więźniarki takie ja, ale były też np. Niemki „bibelki” z naszytymi fioletowymi trójkątami, które nie chciały pracować w soboty. Były też kobiety należące do jakiejś sekty¹¹, które Niemcy przydzielali do pracy w magazynach, bo wiadomym było, że nie kradną i nie pozwalają kraść innym. Doprowadzono nas do naszego bloku. Blok był duży, jako tako oświetlony. Po obu stronach znajdowały się łóżka oddzielone od siebie niewielką przestrzenią, gdzie stał stolik. Moje łóżko znajdowało się przy oknie, w którym nie było szyby. Usiadłam na tym łóżku, na którym było coś pod głowę i koc, którego bałam się ruszyć, ponieważ miał szary kolor i sprawiał wrażenie, że zrobiony jest z kurzu. Koc nie grzał wcale, ale na noc przykrywałam się jeszcze szynelem, więc nie było mi zimno. Nie zabrano mi moich sznurowanych butów, ale ponieważ już w drodze uprzedzono mnie, że strasznie kradną, na noc sznurowałam je i kładłam pod głowę. Do okna podchodzili więźniowie, pytając się, czy to transport z Tomaszowa. Ponieważ moje łóżko było przy oknie odpowiadałam, że nikogo nie było z Tomaszowa. Po chwili podeszły dwie bardzo młode dziewczyny i zapytały się, czy na bloku jest ktoś z Tomaszowa. Podobnie jak uprzednio zaprzeczyłam, ale wspomniałam, że być może w transporcie był ktoś spod Tomaszowa, ale nie jest na naszym bloku. Nagle one mówią: „A pani nas nie pozna-je?”. Odpowiedziałam, że nie, bo jest już dość ciemno i nie widzę dokładnie. Okazało się, że były to dwie siostry z Tomaszowa, które kiedy chorowały na tyfus, ja je odwiedzałam. Następnego dnia zaprosiły mnie do siebie do bloku. To był blok piętnasty, mniejszy, ale dość porządnym. Pytały mnie: „Co mamy pani podać. Niewiele co prawda mamy, ale czasem dostajemy paczki”. Odpowiedziałam im: „Wiecie, myślę o jednej rzeczy. Gdybyście jakiś stanik mi mogły dać”. One spokojnie odparły: „Da się zrobić”. W obozie handlowano różnymi rzeczami, a walutą był

¹¹ Najprawdopodobniej chodzi o Świadków Jehowy.

przede wszystkim chleb. Nie jadło się dzień i wtedy za chleb można było coś kupić. Drugim sposobem zdobywania potrzebnych rzeczy było zorganizowanie sobie czegoś. To było obozowe określenie na kradzież.

MŁM: Jakie były Pani zajęcia w obozie?

TZ: Rano rozlegało się wołanie, pobudka. Cały blok udawał się na plac apelowy i tam ustawiał się dziesiątkami, a blokowa i jej pomocnice zliczały wszystkich więźniów i tak było codziennie. To trwało mniej więcej dwie godziny, także przed siódmą był już koniec i następnie więźniarki biegły na arbeitsapel, natomiast te spośród nas, które nie miały pracy formowane były w kolumny i zaganiane do doraźnych prac – noszenia kotłów z jedzeniem czy sprzątania. Uliczki pomiędzy blokami były dość wąskie, a my musiałyśmy poruszać się czwórkami. Pamiętam jak raz przechodząc, dostałam po plecach pejcem. Niemiec, którego nazywaliśmy Śliwa, stał i po prostu dla samej przyjemności czasem uderzał którąś z więźniarek. Naprawdę nazywał się Flaume, ale ponieważ po niemiecku znaczy to śliwa nazywaliśmy go właśnie w ten sposób. Nie odczułam tego uderzenia aż tak bardzo, ponieważ miałam szynel, do tego noce zaczynały już być chłodne, więc na apel owijałyśmy się gazetami. Mniej więcej po miesiącu, w drugiej połowie listopada zobaczyłam w obozie moją dawną koleżankę ze studiów w Poznaniu, Jadźkę. Ona była w obozie już w 1940 roku, miała numer 4444, więc знаła wszystkich. Jadźka biegnąc, omiotła jedynie wzrokiem kolumnę, w której się znajdowałam, następnie odwróciła wzrok i pobiegła dalej. Pomyślałam sobie wtedy, że siedziałyśmy razem w Anatomicum, a teraz mnie nie zna. Ale okazało się, że ona nie mogła podejść do kolumny i pokazać, że kogoś zna. Jadzia znała kierowniczkę biura rewirowego, która dbała o rekrutowanie nowego personelu w miarę jak ubywało więźniów. Miała także wpływ na transporty do pracy w pobliskich fabrykach. Zostałam więc przyjęta do rewiru.

MŁM: Czy w czasie kiedy przebywała Pani w Ravensbrück rygor obozowy był ciężki?

TZ: W tym czasie w Ravensbrück było najlepiej spośród istniejących wtedy obozów. Nie było już wtedy np. tak znanych eksperymentów medycznych, które wcześniej przeprowadzano na masową skalę. Pomimo to ludzie przeżywali ogromne tragedie. Doskonale pamiętam, co przeżywała Wanda Wyszacka, kiedy jej matka podlegała selekcji. Wanda była jedynaczką, ojciec został stracony, a ona z matką siedziała na Pa-

wiaaku i stamtąd trafiły do Ravensbrück. Wanda była wykwalifikowaną pielęgniarką i także pracowała w rewirze. Na czym polegała selekcja? Dwóch lekarzy obozowych, w tym dr Treite¹² i Oberschwester¹³, stało i rozdzielało według listy kobiety po pięćdziesiątce i sześćdziesiątce, które nie nadążały, były starsze lub siwe od tych, które mogły dalej normalnie i wydajnie pracować. Mama Wandy miała trochę siwych włosów i Wanda nawet zastanawiała się, czy nie zamałować ich jakąś farbą. Na szczęście mamę Wandy przepuszczono, natomiast tamte „nieprzydatne” kobiety kierowano do Jugendlager, gdzie przymierały głodem, zimą długo stały na apelach i masowo umierały.

Ta Oberschwester, która brała udział w tych selekcjach, była okropna. Pamiętam jak kiedyś szłam korytarzem, ale zdążyłam się schować za występ muru, żeby mnie nie zobaczyła. Po korytarzu szła w godzinach pracy lekarka Zdenka, z pochodzenia Czeszka, którą zobaczyła Oberschwester. Zatrzymała ją i wrzasnęła: „Co ty tu robisz?! Powinnaś siedzieć w gabinecie i pracować!”, po czym trzasnęła ją w twarz tak mocno, że głowa aż jej odskoczyła. To było straszne.

MŁM: Trafiła Pani do rewiru. Co należało do Pani obowiązków?

TZ: Tak. Blokowa powiedziała mi, że mam się zgłosić do lekarza, gdzie znajdowały się biura, gabinety oraz sala operacyjna. Każdą świeżo przyjętą do rewiru więźniarkę przedstawiano lekarzowi, który pytał się o różne rzeczy np. co robiło się przed wojną oraz w czasie wojny przed wywiezieniem do obozu. Ja opowiedziałam, że studiowałam medycynę w Poznaniu, a następnie w Piotrkowie pracowałam w szpitalu. Zapytał się czym się w szpitalu zajmowałam, ja wyjaśniłam, że instrumentowałam. Sala operacyjna wyglądała jak w normalnym szpitalu, było ciepło i czysto. Treite faworyzował Polki, nie znosił natomiast Francuzek. Kiedy jakaś się zjawiała na rewirze, od razu ją zwalniał, ponieważ uważał, że są brudne, niedokładne i nieodpowiedzialne, natomiast Polki są bardzo dobre. Powiedziałam, że w szpitalu w Piotrkowie asystowałam także przy operacjach i podawałam narkozę. To go zainteresowało i zaczął się mnie wypytwać, czy często ją podawałam i jak to robiłam. Opisałam

¹² Dr Percy Treite (1911–1947) – lekarz SS w obozie koncentracyjnym Ravensbrück, zbrodniarz nazistowski. Sądzony przez Brytyjski Trybunał Wojskowy w pierwszym procesie załogi Ravensbrück i skazany na karę śmierci.

¹³ Carmen Mory (1906–1947) – kapo pełniąca funkcję Oberschwester w obozie koncentracyjnym Ravensbrück. Skazana w pierwszy procesie załogi Ravensbrück na karę śmierci.

mu dokładnie czynności, które wykonywałam przy narkozie. Jeszcze tego samego dnia miałam przyjść po południu na salę operacyjną. Moim zadaniem miało być podawanie pacjentom narkozy.

Jadźka powiedziała mi potem, że musiałam urodzić się pod szczęśliwą gwiazdą, bo praca była pracą jak w normalnych warunkach. Treite zdziwiony był moją dokładnością. Dziwił się, że użyłam mało eteru, a chory był bardzo dobrze znieczulony. Potem, już po wojnie, śmiałam się z moimi młodszymi kolegami, że jestem prekursorem anestezjologów. Miałam pewien incydent na bloku, kiedy usypiałam chorego za pomocą Evipanu. W przepisach było, że Evipan jest środkiem narkotycznym i nie wolno go wstrzykiwać tak od razu. Choremu musiałam wstrzyknąć 10 ml i było zalecenie, aby wstrzykiwać 1 ml na minutę. Siedzę przy chorym i wstrzykuję mu powoli narkozę, a Treite pyta po czterech minutach: „Warum? Warum so langsam? Schneller, schneller!“. Odpowiedziałam spokojnie: „Kann man nich“. On stanął nade mną zdziwiony i pyta: „Warum?“ Odparłam: „Man muss langsam“, także wtedy Treite nawet się zdenerwował. W obozie były przeprowadzane transfuzje krwi. Niemcy wykorzystywali do tego przeważnie Ukrainki pracujące w kuchni, ponieważ to były rosłe dziewczyny. Kładziono je następnie na łóżku obok chorej, która straciła dużo krwi czy wskutek choroby, czy operacji i krew przetaczano. Treite zadowolony był z mojej pracy i nie robił mi żadnych uwag, a nawet chyba mnie polubił, ponieważ nazywał mnie: „die kleine Tusia“, bo była w obozie jeszcze jedna Tusia – Gustawa Wińkowska, z której zdaniem Treite bardzo się liczył, ponieważ знаła nie tylko świetnie język niemiecki, ale była damą w każdym calu. Kiedyś zachorowałam na biegunkę i położono mnie na kilka dni. Treite pytał wtedy innych: „Wo ist die kleine Tusia?“.

MŁM: Czy w rewirze pracowała Pani aż do samego końca pobytu w Ravensbrück?

TZ: Nie. W pierwszej połowie lutego świeżo przyjęte pracownice były przedstawiane komendantowi obozu, który musiał dokonać zażyczenia. Poszłam do komendanta, nie zdając sobie sprawy, że jest to dla mnie tak fatalny moment. Spojrzałam na księgę z nazwiskami, w której oprócz nazwiska widniała data urodzenia i pochodzenie, a obok tego była rubryka, w której przy moim nazwisku wypisane były dwie litery: „NN“, co znaczyło „Nebel Und Nacht“, dosłownie „Mgła i Noc“. Wyrzucono mnie z rewiru i pojawiła się kwestia, gdzie będę mieszkać

i co w ogóle ze mną będzie. Henia Prus, znajoma rodziny mojego przysłego męża, którą poznałam w obozie, zastanawiała się nad sposobem, który pozwoliłby wetknąć mnie do pracy w pralni. Nie wiedziałam wtedy co takiego jest w tej pralni, że pomyślały akurat o tym. Dopiero później dowiedziałam się, że Auswierka w pralni jest przeciwniczką Hitlera i nikogo nie prześladowe, a w samym obozie działa nawet konspiracja! Ale wtedy o tym nie wiedziałam. Problem był dużo większy, ponieważ Henia miała kiedyś koleżankę zatrudnioną w rewirze, którą po zwolnieniu stamtąd wywołano w czasie apelu, wyprowadzono za bramę obozu i zastrzelono. Zastanawiała się więc, co ze mną zrobić. Był nawet pomysł, aby uznać mnie za zmarłą. To było jednak zbyt ryzykowne i zrezygnowaliśmy z tego. W końcu Jadźka powiedziała mi: „Musisz się zgłosić do transportu na roboty, by nie być w Ravensbrück, wtedy nie będą cię przecież szukać w innym krańcu Niemiec”. Dzięki Jadźce zapisano mnie na transport do pracy w jakiejś fabryce. Na bloku na ten wyjazd czekało kilkadziesiąt kobiet. Wieziono nas wagonem towarowym, w którym było bardzo ciasno, w dodatku 1/3 wagonu zajęta była przez Auswierkę i esesmana, którzy mieli dużo miejsca, a my musiałyśmy stać lub kucać. Okropnie było zwłaszcza w nocy. Na drogę dostałyśmy po kawałku chleba i margaryny, bardzo chciało się nam pić. Jechaliśmy sześć dni do miejscowości, której nazwy nie pamiętam, ale będącej blisko granicy. Na miejscu były baraki i fabryka samolotów, ale zniszczona przez naloty aliantów tak, że nie było tam już nic do roboty. Całe dni siedziałyśmy w baraku. W drugi dzień Świąt Wielkanocy 1945 roku siedziałyśmy z Wandą i jej mamą w baraku. Pierwszego dnia Świąt rano modliłyśmy się, natomiast nazajutrz był nalot. Samoloty część bomb zrzucały na fabrykę, a część na baraki. Wybuchy były tak blisko, że powstawały leje i fontanny odpryskującej ziemi, a nasz barak cały się trząsł. W pewnym momencie usłyszałyśmy ogromny huk – bomba spadła dwa metry obok naszego bloku, na szczęście był to niewypał, ponieważ w przeciwnym razie z całym barakiem byśmy wyleciały w powietrze. Ocalałyśmy. Powrotna droga do Ravensbrück była ciężka, ale trwało to krócej niż wyjazd z obozu. Kiedy przyjechałyśmy do Ravensbrück, to czułyśmy się trochę tak, jak byśmy wróciły do domu. Poza tym tutaj głód był mniejszy niż w tamtym obozie przy fabryce. W tym czasie w Ravensbrück czuć było w nocy jak ziemia drży od dywanowych nalotów na Berlin i często budził nas huk przelatujących samolotów. Po powrocie wszyscy

cieszyli się z mojego przyjazdu, a dziewczyny opowiadały mi, że kiedy Treite dowiedział się o moim zwolnieniu zażądał moich papierów, ponieważ nie mógł pogodzić się z tym, że nie mogę pracować w rewirze. On oczywiście nie mógł mnie wyratować, ponieważ komendanta obozu nie obchodziło czy ja dobrze pracuję, czy nie. Treite obchodziło, bo on operował.

MŁM: W jaki sposób wydostała się Pani z obozu? Czy doczekała Pani wejścia Sowietów?

TZ: O więźniów obozów pertraktował z Niemcami nieustannie hrabia Fulke Bernadotte, brat króla Szwecji. Wkrótce ogłoszono, że będzie transport do Szwecji i która z więźniarek chce, może się do niego zgłosić. Do Ravensbrück przyjechały dwie czy trzy karetki oznakowane jako szwedzkie, aby zabrać ciężko chorych do Szwecji. Jedna z córek koleżanki zachorowała na tyfus i niestety zmarła. Druga córka też była chora, więc ta koleżanka pytała mnie: „Co ty mi radzisz? Czy mam ją dać na ten transport? Czy to nie jest niemiecki podstęp?”. Ja odpowiedziałam: „Gdzie oni by się przebierali za Szwedów? Szwedzi są neutralni i możliwe, że chcą zabrać chorych. Nie mam dzieci, ale gdybym miała to dałabym na ten transport”.

Zapisałam się na transport do Szwecji, który trwał sześć dni. Odwieziono nas najpierw do granicy duńskiej, gdzie przywitał nas ksiądz po polsku: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”, a później po duńsku czy niemiecku powiedział jeszcze: „Witajcie w Danii”.

Trzymałam się dalej z Wandą Wyszacką. Panie z Czerwonego Krzyża przywiozły nam coś gorącego i wtedy po raz pierwszy zobaczyłam jednorazowe kubki i talerzyki. Jedzenie było oczywiście odpowiednio dawkowane. Jeszcze przy wyjściu z Ravensbrück dawano nam paczki – kilogram tłuszczu, paczkę sucharów, cukier i czekoladę. Ponieważ było mało pieczywa, a dużo tłuszczu te wszystkie wygłodzone kobiety jadły samą margarynę, czego skutki były takie, że w Szwecji masowo zanieczyszczały toalety. W nocy z 30 kwietnia na 1 maja dopłynęłyśmy promem do Malmö¹⁴. Pierwsza noc w Malmö było dosyć ciężka, ponieważ zawieziono nas do jakiegoś parku. Dopiero rano przewieziono nas do jakiejś szkoły. Zaczęli badać nas na wszystkie strony – pobierali wymaz z gardła, dokładnie oglądali. W Szwecji poddano nas czterotygodniowej kwarantannie. Spałyśmy w jakiejś szkole, śniadanie było o ósmej, je-

¹⁴ Malmö – miasto w południowej Szwecji w prowincji Skania.

dzenie natomiast w dalszym ciągu wyporcjowane. Kobiety z transportu narzekały nawet, mówiąc, że warunki żywieniowe są jak w obozie, a Szwedzi chcą nas zgłodzić. Kiedy wieziono nas z Wandą do kąpieli zwróciłam uwagę, że człowiek obok kierowcy czyta gazetę. Spojrzałyśmy i przeczytałyśmy, że Dönitz¹⁵ podpisał kapitulację.

MŁM: Po przeżyciach obozowych dochodziła Pani do siebie. Czy zapamiętała Pani coś charakterystycznego z pobytu w Szwecji?

TZ: Kobiety, które przywoziły nam jedzenie, starały się z nami nawiązać kontakt. Najpierw nawiązały go z Wandą, a potem również ze mną. Jedna z nich zapytała się, czy możemy coś zorganizować na Trzeciego Maja! Powiedziała nam wtedy: „Na pewno pamiętacie o swoim święcie narodowym, a my tu w Szwecji też wiemy jak ważna była wasza konstytucja. Jeżeli chcecie, to jest pianino”. W szkole, w której nas ulokowano była scena, a Wanda dobrze grała, więc zorganizowałyśmy akademię z okazji święta Konstytucji Trzeciego Maja.

Potem grupami nas rozwożono i trafiłyśmy do miejscowości Aneby¹⁶. To był piękny maj, pogodny i słoneczny, od rana błękitne niebo.

MŁM: Dość szybko powróciła Pani do kraju i udała się do Poznania, by kontynuować przerwane w czasie wojny studia. W kraju panowała już zupełnie inna sytuacja, niż ta, którą Pani знаła. Jednocześnie rozpoczęły się na całym świecie procesy rozliczania zbrodniarzy nazistowskich. Czy śledziła Pani procesy załogi Ravensbrück?

TZ: Tak, śledziłam procesy. Najpierw Norymbergę, a później procesy załogi obozu¹⁷. Treite wraz z Oberschwester, której nazwiska nie pamiętam, sądzeni byli w Hamburgu i skazani zostali na karę śmierci, następnie zaś straceni¹⁸.

¹⁵ Karl Dönitz (1891–1980) – niemiecki oficer marynarki, w latach 1943–1945 naczelny dowódca Kriegsmarine, ostatni naczelny dowódca Wehrmachtu i prezydent III Rzeszy, zbrodniarz wojenny.

¹⁶ Aneby – miejscowość w Szwecji w regionie administracyjnym Jönköping.

¹⁷ O obozie koncentracyjnym w Ravensbrück, w tym o procesach załogi zob. Z. Stanuch, *Ravensbrück. Historia nie do zapomnienia. Perspektywa polska*, IPN, Szczecin 2020..

¹⁸ Dr Percy Treite został skazany na karę śmierci, ale przed wykonaniem wyroku popełnił samobójstwo. Według niektórych hipotez również skazana na karę śmierci Carmen Mory odebrała sobie życie.

Bibliografia

- Burza-Karliński Stanisław, *W burzy dziejowej. Wspomnienia dowódcy Oddziału Partyzanckiego „Burza” AK 1939–1945*, Wyd. Mierki, Warszawa–Kraków 2014.
- Kopa Mirosław, Arkuszyński Aleksander, Kępińska-Bazylewicz Halina, *Dzieje 25 pp Armii Krajowej. Geneza, struktura, działalność zbrojna, zaplecze, dramaty powojenne*, SZŻAK, Łódź 2001.
- Kopa Mirosław, *Inspektorat Piotrkowski Armii Krajowej w dokumentach i komentarzach*, IPN, Łódź 2013.
- Olasik Adam, *Wspomnienia komendanta Obwodu Piotrkowskiego Armii Krajowej*, Towarzystwo Przyjaciół Miasta Piotrkowa Trybunalskiego, Piotrków Trybunalski 1991.
- Stanuch Zbigniew, *Ravensbrück. Historia nie do zapomnienia. Perspektywa polska*, IPN, Szczecin 2020.
- Strawiński Karol, *Pod hitlerowską okupacją*, [w:] *Dzieje Piotrkowa Trybunalskiego*, red. B. Baranowski, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1989, s. 535–567.